

Joanna Lichocka DoRzeczy, nr 14, 1-7.04.2019 r.

Idzie Tomek w świat szeroki,

Zamaszyste stawia kroki,

Na grzebieniu gra walczyka,

A tak wabi ta muzyka,

Że tuż za nim środkiem drogi

Kroczy bocian długonogi...

*„Pana Dropsa i jego trupę” Jan Brzechwa czytał dwojgu dzieciom na strychu domu w Gołkowie
późną jesienią 1944 r.*

Tłoczyliśmy się w małym pokoiku, cztery osoby na przestrzeni ok. 12 mkw. Janek przynosił rękopisy swoich wierszy i opowiadań: »Akademia pana Kleksa« i »Pan Drops i jego trupa«. Nasza dwunastoletnia córka i dziesięcioletni syn byli zafascynowani urzekającym dowcipem i poezją tych utworów" - napisał we wspomnieniu poświęconym Brzechwie Władysław Rymkiewicz. Niewielki dom stał [przebudowany wciąż stoi] prawie naprzeciw stacji kolejki wąskotorowej w Gołkowie. Brzechwa był tam częstym gościem, ukrywał się w pobliskim

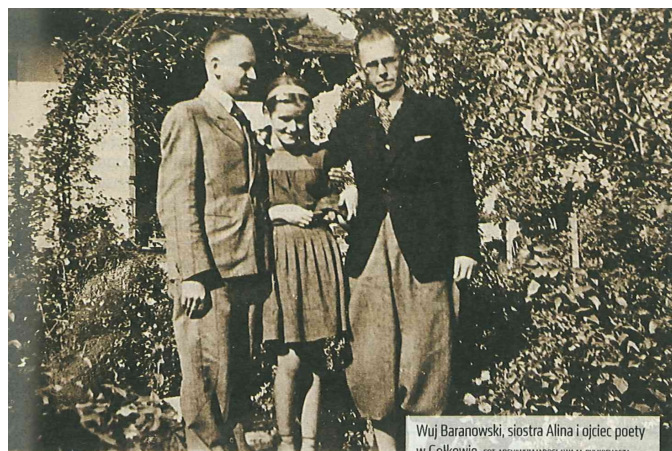
Zalesiu.

Z domu w Piasecznie do domu w Gołkowie są 4 km. Zmierzyliśmy to razem z Ewą i Jarosławem Rymkiewiczami, gdy samochodem wczesną jesienią 2018 r. przejechaliśmy drogą wzdłuż torów. Te 4 km wówczas, we wrześniu 1944 r., tą samą trasą, pchając wózek z rzeczami, poeta z siostrą i rodzicami przemierzył na piechotę. Kolejka nie działała, trwało jeszcze powstanie.

Stacja kolejki w Gołkowie, właściwie jej zrujnowany budynek (nie ma już prawie śladu peronu i trzeba się domyślić, dopytać, czy to właśnie tu była na pewno stacja kolejki), wciąż istnieje. Ładny zabytkowy drewniany domek stoi po przeciwnej stronie torów niż stacja w Gołkowie, obok niego przebiega dziś asfaltowa szosa. Jest mocno przebudowany, ale okno z małą drewnianą balustradą oraz drewniana elewacja ściany wciąż są takie same. W albumie jest kilka zdjęć pokazujących sceny z Gołkowa i stawiających przed nami poważny dylemat badawczy. Bo to zdjęcie z Gołkowa, na którym Alina trzyma w ręku żółwia - ale nie tuli go, trzyma go lewą ręką za skorupę, drugą dotyka jego łapy - nie odpowiada zapamiętanym przez poetę faktom.

Fotografie starannie wklejone przez mamę poety do albumu i podpisane „Gołków 5 października 1944” nie mogą odnosić się do Gołkowa i tego czasu, bo ani żółwia, ani wuja Baranowskiego tam nie mogło być - mówi mi Jarosław Marek Rymkiewicz. - Mama musiała się pomylić - dodaje. Przeglądam raz jeszcze zdjęcia - dom w Gołkowie z charakterystycznym oknem jest niezaprzeczalnie. Na tle domu siostra poety z równie niezaprzeczalnym żółwiem w ręku także. Obok ktoś, kto wygląda jak wuj Baranowski, w za dużym, wymiętym garniturze w prążki. Na kolejnym zdjęciu mama poety, radosna, trzyma pod ramię mężczyznę, który wygląda jak jej brat Bohdan Baranowski. Może wtedy - 5 października - Bohdanowi Baranowskiemu, uczestnikowi powstania warszawskiego, udało się już jakimś cudem dostać do Gołkowa i kurczowe ściskanie przez Hannę Szulc ramienia mężczyzny ma nam mówić o jej radości z ocalenia krewnego? Gdyby oprzeć się na dokumentacji zdjęciowej, tak to właśnie wygląda. Konfrontacja z relacją niewątpliwego świadka tych wydarzeń interpretację tę stawia jednak pod znakiem zapytania. Musimy uznać, że... No właśnie, był żółw w Gołkowie czy nie? A jeśli był, to czyj on był? Udało się wujowi Baranowskiemu przedostać po upadku powstania przez obóz w Pruszkowie tak szybko do Gołkowa? I na czym się opierać, ustalając fakty - na dokumentach (zdjęciowych) czy na relacjach świadków?

SOWIECKI OSTRZAŁ



PozwólmY mówić świadkom. Z okna na piętrze było dobrze widać budynek stacji i peron - to niewielka odległość, kilkadziesiąt, może sto metrów. Mały Jarek zapamiętał rozgrywającą się na peronie scenę (dorosły Jarosław opisuje mi ją, gdy stoimy przed zrujnowanym budynkiem stacji, a zarazem przed tym domem na ulicy w Gołkowie). Do młodego mężczyzny palącego papierosa podchodzi na peronie niemiecki żołnierz. Legitymuje, czegoś żąda. Obserwujący z okna na poddaszu tę scenę chłopiec chowa się w głąb pokoju, jest pewien, że Niemiec zastrzeli tamtego człowieka. Co się stało dalej? W pamięci dziecka to się nie zachowało, zapisana jest tylko groza, ocena sytuacji kogoś, kto wie, co się w takich scenach dzieje. Jednak nie wiemy o tym nic więcej.

Znacznie bardziej wyraziste, pełne wspomnienie - z rozpoczęciem, rozwinięciem i zakończeniem - wiąże się z wędrówką chłopca z ojcem wzdłuż torów kolejki z Gołkowa do Piaseczna i opisane jest w „Kinderszenen”. Ojciec poety wydzierżawił stoisko na targu w Gołkowie, gdzie próbował handlować materiałami piśmiennymi. „Kiedy szedł do domu na obiad, zeszyty, stalówki i gumki-myszki sprzedawał jego dziewięcioletni syn” - pisze po latach tenże. Materiały kupowane były w hurtowni w Piasecznie.. „Pewnego dnia - była jeszcze jesień 1944 roku - poszedłem z ojcem do Piaseczna. [...] Szliśmy wzdłuż toru kolejki, nawet środkiem toru. Dzień był piękny, słoneczny [...]. Nadleciał sowiecki dwupłatowiec, z tych, które nazywano kukuruźnikami. Na skrzydłach miał czerwone gwiazdy.

W pobliżu nie było nikogo poza nami, byliśmy tylko my, ja i ojciec, i ci dwaj Rosjanie. Musiało być ich dwóch, bo jeden pilotował, a drugi strzelał [...]. Seria z karabinu maszynowego poszła wzdłuż toru, po podkładach, tuż przy moich nogach [...]. Zaczęliśmy biec w kierunku [...] willi w ogródkach, ojciec ciągnął mnie za rękę, [...] biegliśmy środkiem toru. [...] Druga seria poszła na skos przez tor, tuż przede mną i przed ojcem, gdybyśmy biegli trochę szybciej, to wpadlibyśmy pomiędzy pociski Kukuruźnik zaatakował po raz trzeci, tym razem na ścieżce za torami, ale byliśmy już przy tych willach [...] jakaś kobieta [...] otworzyła nam furtkę. Siedziałem na

podłodze, oparty o drewnianą ścianę werandy i płakałem - oczywiście ze strachu".

Tego dnia nie był jedynym dzieckiem w okolicach Piaseczna, które płakało po tym, jak próbowano je zabić z rosyjskiego samolotu. Opis tego zdarzenia w „Kinderszenen” sprowokował Mieczysława Metlera do napisania listu do poety po ukazaniu się książki i opisanie w kwartalniku „Kresowe Stanice” (nr 44) własnych przeżyć - prawdopodobnie z tego samego dnia: „Było niedługo po południu, słonecznie i ciepło. Tak jak wspominał pan Jarosław. Wracałem do domu po lekcjach, prowadzonych potajemnie przez miejscową przedwojenną nauczycielkę dla kilkanaściorga dzieci z Żabieńca i okolicy. Szliśmy w trójkę lub czwórkę miedzą wzdłuż świeżo zaoranego pola, gdy zza lasu nadleciał w naszym kierunku sowiecki dwupłatowy samolot. Zniżył lot tak, że dostrzegliśmy czerwone gwiazdy na skrzydłach i kadłubie oraz sylwetki dwóch lotników. [...] Nagle usłyszeliśmy terkot karabinu maszynowego i ujrzelśmy ogniki ognia. Nie do wiary, ale strzelali do nas! Wrzasnąłem: »Uciekajmy« i rozbiegliśmy się jak zające przez bruzdy. Z samolotu padły jeszcze kolejne strzały, coś uderzało bardzo blisko w ziemię, ale na szczęście pociski nikogo nie trafiły. Samolot zatoczył koło i odleciał [...]. Z ziemi podniosłem kilka, jeszcze ciepłych, lśniących, mosiężnych łusek z wystrzelonych pocisków”.

Pan Metler wspomina, że dzieci były w szoku, że ktoś chce je zabić, strzela do nich bez powodu: „Nie mogliśmy w to uwierzyć”. W „Kinderszenen” czytamy zaś tak: „Mnie wtedy w ogóle to nie zdziwiło [...] przyjąłem, że jest to rzecz naturalna i oczywista; że to się mieści w porządku rzeczy [...]”. Ten brak zdziwienia narratorowi „Kinderszenen” w tej historii wydał się najciekawszy.

Ojcu nie szło handlowanie materiałami piśmienniczymi, nie było na nie, jesienią 1944 r., dużego popytu. Rodzina utrzymywała się dzięki praktyce lekarskiej mamy. Na płocie posesji w Gołkowie powieszono tabliczkę z napisem „Lekarz”, ludzie za leczenie odwdzięczali się, jak mogli. „Kiedyś przyszedł bogaty gospodarz podziękować za ocalenie życia jego żonie. Przyszedł, usiadł... I położył na stole podłużny pakunek przypominający blok szarego mydła” - opowiadała w „Kinderszenen starszej siostry” Alina Sawicka. „Podziękował, wyszedł, mama rozwinęła papier... A tam wielki poć po- przerastanej słoniny, skarb! Smażyliśmy potem jajecnicę na skwarkach, jedliśmy omaszczane kartofle. To było wspaniałe”.

Gotowano na kozie stojącej w pokoju.

To na niej warzono także zupę dla Jana Brzechwy, którą wylał przez nieuwagę mały Jarek. Zdarzenie musiało być traumatyczne, bo zapamiętał je zarówno przyszły poeta, ojciec poety,

jak i sam Brzechwa. Autor „Pchły Szachrajki” odwiedzał często rodzinę Rymkiewicza, był zapraszany na obiady, ratowany przed głodem. Jan Lesman, mając żydowskie pochodzenie i łatwy do rozpoznania wygląd, musiał się ukrywać. Po powstaniu i przejściu przez obóz w Pruszkowie udało mu się znaleźć jakieś lokum w Zalesiu. Jednak tam nie było mu dobrze. „Odsuwają się wszyscy ode mnie. Ludzie zmieniają się w szakale i skaczą sobie do gardła” - pisał do swej przyszłej żony. Jesienią 1944 r. przypadkiem spotkał w Gołkowie Władysława Rymkiewicza, od tej chwili często odwiedzał Gołków. Ojciec poety był kolegą ze studiów, z aplikacji adwokackiej, no i z wojska.

Brzechwa „W 1918 roku przerwał studia, by wraz z grupą studentów wstąpić na ochotnika do nowo utworzonego 36-Pułku Piechoty Legii Akademickiej, idącej na odsiecz Lwowa. Brał więc udział w kampanii lwowskiej” - napisała jego siostra Halina Korecka we wspomnieniowej książce „Akademia pana Brzechwy”. Szlak bojowy pułku obejmował także walki późniejsze - dopiero po zwycięstwie nad bolszewikami w 1920 r. studenci wrócili do zajęć na uniwersytecie. Obydwaj - Jan Lesman i Władysław Szulc - wrócili na prawo i trafili na ten sam rok

Ze wspomnień Władysława Rymkiewicza o Brzechwie zawartych w książce „Akademia pana Brzechwy” wynika, że to właśnie na studiach się zaprzyjaźnili. Władysław pisze o przyjacielu z atencją i czułością: „Janek przyciągał jak magnes spojrzenia wszystkich studentek”, „miał już za sobą debiut poetycki i cieszył się wzięciem jako autor estradowy”, „imponował mi rosnącą popularnością”. Po studiach razem pracowali jako aplikanci sądowi w wydziale cywilnym Sądu Okręgowego w Warszawie przy Miodowej - urzędowali w jednym pokoju. Potem ich drogi się rozeszły - Lesman zajął się prawem autorskim, Szulc bronił tych, którzy weszli w konflikt z prawem karnym. „Kalendarz informator sądowy na rok 1934” podaje spis adwokatów działających przy Sądzie Okręgowym w Warszawie: „Lesman Jan, Żórawia 35, tel. 9-55-34”; „Szulc Władysław Michał, Nowogrodzka 33, tel. 8-58-08”. Urzędują niedaleko od siebie - przy sąsiednich przecznicach, odchodzących od Marszałkowskiej.

Podczas okupacji nie mają kontaktu, aż do chwili przypadkowego spotkania w Gołkowie. „Janek był mizerny, wychudzony, ale humor i optymizm nie opuszczały go” - wspominał w „Akademii...” Władysław Rymkiewicz. „[...] Pewnego dnia moja żona przygotowała zawieszistą zupę grzybową [...]. Gdy Janek zjawił się w naszej klitce, zasiedliśmy do stołu. Niestety mój syn, pełen temperamentu, zaczął biegać od ściany do ściany i potracił rondel. Szkoda jak na owe czasy była niepowetowana! Po grzybowej zupie pozostało tylko wspomnienie. [...] Janek nie tracił humoru, ale po wojnie wyznał, że w dniu fatalnej katastrofy był bardziej głodny niż zwykle”.

MIESZKANIE W ŁODZI

W lutym 1945 r. jakiś nieznajomy mężczyzna przyniósł do Rymkiewiczów list od Brzechwy, z Łodzi. Poeta - jak tylko było to już możliwe: gdy Niemcy się wycofali, a weszli Rosjanie - opuścił Zalesie. Pojechał do Lublina, gdzie rozlokowała się wyznaczona przez Stalina nowa władza. Spotkał się tam z Jerzym Borejszą, działaczem KPP, PPR i twórcą polityki kulturalnej instalowanej przez Moskwę władzy. W tym czasie, w styczniu 1945 r., Borejsza opublikował na łamach nowego pisma „Odrodzenie” artykuł pt. „Rewolucja łagodna”. „Reakcja polityczna i społeczna przegrała bitwę o Polskę i ta przegrana jest zupełna i ostateczna. Wśród inteligencji następuje podział na małą grupę, która tkwi i chyba pozostanie w przesądach reakcyjnych - J olbrzymią większość, która zdaje sobie jasno sprawę z tego, że droga szerokich reform wybija Polsce okno na Europę” - pisał przedstawiciel nowej władzy. I dodawał: „Przed naszą inteligencją staje wielki problem odnalezienia wyrazu kulturalnego nowej Polski. Nieuniknienie wyrośnie nowa inteligencja, która zastąpi wytrzebione przez okupanta szeregi, jako też, jeśli zajdzie tego potrzeba, zastąpi tych reakcyjnych przedstawicieli inteligencji zawodowej, którzy nie zechcą stanąć, zakasawszy rękawy, do pracy nad dziełem budowy Polski demokratycznej”.

Z Lublina Jan Brzechwa pojechał do Łodzi, gdzie objął funkcję radcy prawnego tworzonej przez Borejszą Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik”. Autor „Pchły Szachrajki” donosił, że „do Łodzi zjechało wielu literatów”, że są dla pisarzy przydzielone mieszkania i że zabezpieczył dla Rymkiewiczów jedno. I że jest dla nich praca, żeby koniecznie przyjeżdżać.

W ten sposób Brzechwa przesądził o całym ich przyszłym życiu, zdecydował o dalszych wieloletnich - od tego momentu łódzkich - losach Jarosława Marka Rymkiewicza. Przypadkowe spotkanie dwóch dawnych kolegów w Gołkowie, obiady na stryszku, czytanie „Akademii Pana Kleksa”, wylana zupa - tak też wygląda punkt (w tym wypadku o dużym ciężarze właściwym) przecięcia linii przeznaczenia. A gdyby tak Brzechwy nie spotkali? Czy Władysław Rymkiewicz zabraliby rodzinę do Łodzi, trafił do Czytelnika, porzucił zawód prawnika i został łódzkim literatem? Jak potoczyłyby się losy jego syna? Jakie to byłyby wiersze?

Nie wyprzedzajmy faktów, bo tymczasem Brzechwa, niczym wojewoda w „Panu Dropsie...”: „I dziękował im serdecznie, I tak prosił bardzo grzecznie: Zamiast tułać się po świecie, U mnie wszyscy zostaniecie...”

Opracował: Janusz Baranowski - Tatar Polski, twórca Solidarności, potomek Powstańców Styczniowych, Legionistów, Generałów, Harcerzy, Szarych Szeregów, Żołnierzy Wyklętych